

Co to jest amerykańska partia

Przed wyborami w Stanach Zjednoczonych

Właściwie należałoby zapytać o partię, dwie są bowiem w USA organizacje polityczne „liczące się” w rozgrywkach wyborczych, w walce o władzę: Partia Demokratyczna i Partia Republikańska. Właśnie między tymi dwiema głównymi partiami bardzo trudno doszukać się różnic. Dzisiaj, bowiem kiedyś one były.

Ale to było dawno, jeszcze na przełomie wieku XVIII i XIX, gdy głównymi partiami USA byli Federaliści i Demokratyczni Republikańscy. Pierwsi byli zwolennikami silnej władzy centralistycznej i reprezentowali przede wszystkim uprzemysłowaną Północ. Drugi popierali dużą samodzielność poszczególnych stanów i domagali się uszczuplenia władzy centralnej, a wywodzili się przede wszystkim spośród plantatorów i właścicieli niewolników z Południa. Był to moment, gdy między partiami — tymi głównymi — w USA występowały jakieś istotne różnice. Potem już takich sytuacji trudno się w historii USA doszukać, wyjąwszy jeszcze okres wojny domowej na początku drugiej połowy XIX w.

Ale wtedy nie było już na arenie politycznej Federalistów. Po ich upadku od 1840 r. przez długie lata

Demokratyczni Republikańscy byli faktycznie partią jedyną (przekształciła się później w Demokratyczną). Pokazała się natomiast na arenie w 1856 r. Partia Republikańska, która przedstawiła doraźny program; potrafił on połączyć i zjednoczyć wiele grup społecznych, a nawet różne klasy pod hasłem walki z niewolniczo-plantatorskim Południem oraz pod hasłem szeregu reform społecznych. Republikańscy zwyciężyli. Później różnice między partiami się zatępiły i tak już do dziś pozostało. Partie amerykańskie coraz bardziej przekształcają się w instrument walki klik politycznych o władzę i związane z nią korzyści materialne.

Tradycje tych korzyści też są stare. Już w połowie XIX w. wykształcił się w USA tzw. spoils system, polegający na tym, że każdy nowo wybrany prezydent zwałniał ze wszystkich stanowisk urzędników i obsadzał je nowymi ludźmi ściśle związanymi z jego partią lub z nim osobiście. Wobec politycznej partii chodziło nie tylko o zdobycie władzy, lecz także — a często przede wszystkim — o możliwość swobodnego obsadzania posad i synekur i zapewnienia w ten sposób dochodów członkom partii.

Wprawdzie w XX wieku ten „system łupów” został zmieniony, lecz do dziś przetrwały w amerykańskim życiu liczne jego pozostałości.

Więc mamy teraz w USA system 2-partijny, który tym się charakteryzuje, iż podział między partiami nie jest podziałem klasowym. Każda z nich skupia w sobie ludzi od wielkiego biznesu po nędzarzy, poprzez mieszczaństwo, warstwę urzędniczą, robotników i intelektualistów. Łącznikiem tych różnorodnych elementów jest niezadowolenie z rządów (w przypadku partii będącej w opozycji), bądź popieranie rządu (w przypadku partii będącej u władzy). Amerykańskie partie nie są bynajmniej wyrazem podziału narodu w jakichś zasadniczych sprawach — w tych są one zwykle całkiem zgodne (np. w kwestii czy ma być w USA kapitalizm czy socjalizm). Są one w praktyce przeznaczone jedynie do walki wyborczej o stanowiska i urzędy, a centralną postacią amerykańskiego życia politycznego jest boss (przywódcą) partijny, który myśli głównie o rozbiciu pieniędzy, i który temu celowi podporządkowuje całe życie partijne.

Wedle Szymona Chodaka — na którego pracy zawartę w tomie „Systemy partyjne współczesnego kapitalizmu” opieramy niniejsze uwagi — cechy charakterystyczne amerykańskiego systemu partyjnego są następujące.

Jest to system 2-partijny, jak był nim 100, a nawet 150 lat temu, mimo iż istnieją tam i inne stronnice

two, nie odgrywające wszakże prawie żadnej roli.

Wprawdzie organizacje polityczne wszędzie są instrumentami walki politycznej, a głównie walki o władzę, to jednak na ogół wysuwają one programy realizacji wielkich ideałów wynikających z odpowiedniej ideologii, która mobilizuje masy i skupia je wokół partii. W USA tym czynnikiem był „system łupów”, a i dziś idzie głównie o zaspokajanie interesów różnych ugrupowań społecznych, zrzeszeń, grup interesów, a nawet poszczególnych firm kapitalistycznych. Są to więc wielkie kliki, których ideologią jest business.

Właśnie stąd bierze się takie podobieństwo programów obu partii, że nie tylko przeciętny obywatel USA, ale i działacze partyjni nie potrafią pokazać różnic między nimi. Co więcej — różnice występują częściej między poglądami bossów z różnych skrzydeł tej samej partii, niż między obu partiami. Oba ugrupowania polityczne cieszą się poparciem wielkiego kapitału (pewne grupy na wszelki wypadek popierają obie partie, choć w różnych proporcjach), oba też mają poparcie mas. Oba są rozdrobnione i zdecentralizowane, a problemy lokalne w ich programach mają większe znaczenie niż ogólnokrajowe.

Głównym i właściwie jedynym wewnętrznym wyrazem działalności partyjnej jest organizowanie wyborów do wszelkich organów władzy. Żadnej działalności wychowawczej czy ideologicznej w programach partyjnych nie ma. Jedną z partii jest zawsze w opozycji i skupia niezadowolonych z aktualnych rządów, ludzi różnych warstw i poglądów.

Tegoroczne wybory prezydenckie w USA są pewnego rodzaju wyjątkiem z reguły zarysowały się bowiem między partiami różnice, jakich nie było od dawna. Stało się to „dzięki” wysunięciu przez Republikanów kandydatury ekstremisty Goldwata. Bardziej niż kiedykolwiek może wybory te interesują świat, różnice bowiem koncentrują się właśnie na sprawach żywo obchodzących narody. Najważniejsze z tych spraw to: — czy polityka zagraniczna USA ma zmierzać do odpreżania na drodze rokowań ze światem socjalistycznym czy też ma to być polityka na krawędzi wojny oraz do kogo ma należeć kontrola nad terytoriami bronią jądrową — wyłącznie do prezydenta jak dotychczas czy też również do poszczególnych dowódców sił zbrojnych NATO (także Niemców?). Nie potrzeba dodawać, że wojowniczą część tej alternatywy reprezentuje Goldwater, ugodową zaś — Johnson. Któremu z nich wyraża zaufanie Amerykanie, dowiemy się już za kilka dni.

Poznańscy
pisarze



Nad drzwiami pokoju, w którym pracuje starannie wykaligrafowany napis głosi „to się tfoży”. Na ścianach trochę dziwne plakaty, przeróżne zbiory osobliwości i bibeloty. Jesteśmy u pisarza, któremu szczególnie bliski jest ton ostry groteski i ironii. Przenika on z przekorych, nieco tomikowych opowiadań, w sceny najbliższego otoczenia, a czasem i w ton bezpośrednio wypowiedzi. Może dlatego właśnie nie udało mi się uzyskać tu wielkich deklaracji twórczych ani pryncypialnych wykładni poglądów. Były partyzant oddziałów Gwardii Ludowej i kapitan II Armii WP spod Budziszyna i Drezna oraz bieszczadzki lasów 1946 roku, bardzo nie lubi zwyczajem wszystkich wojskowych daleko

JERZY KORCZAK

idących uogólnień i patosu wypowiedzi. Nie wygląda na frontowego oficera; jest niewysoki, szczupły, niespokojny. Ma 37 lat. Podporucznikiem został mając lat 17. Mundur zdjął w 1948 r. Pierwszą książkę wydał w 1950 r. Nazywała się ona „Trzy spotkania”. W dwa lata później ukazała się druga — „Odcinek południowy”. Obie wspomina dziś tylko wyraźnie spróchniałe. Zestarzały się już autorowi. Potem po dłuższej przerwie wypełnionej pracą w teatrach przyszły nowe; te już wymienia chętniej: „Pierzeń drewniany” (1960) i „Pogrzeb z gramofonem” (1963), wkrótce poznamy trzeci już tom opowiadań o równie zaskakującym tytule co poprzednie: „Melpomena i niebieskie myszki”. Od wielu lat Jerzy Korczak związany jest z teatrem. Był kierownikiem artystycznym Teatru Satyry, potem kierownikiem literackim Teatru Polskiego, wreszcie ostatnio scen „Estrady”. Tematy do swych książek czerpie z własnych przeżyć i obserwacji. Dwa, tak bardzo różne światy — wielkiej wojny i teatralnej groteski walczą pospolito o prymat w jego pisarstwie. Czy nie kłóca się ze sobą? — pytamy wstępnie z prostej ciekawości Jerzego Korczaka.

Raczej nie, odpowiada autor. — Temat determinuje środki wyrazu. Obserwacja wielu przeróżnych przywar współczesnego Lechity pasuje jak ulał właśnie do groteski. Co innego temat wojenny. To wprawdzie obrót o 180 stopni, ale sadzę, że jest obowiązkiem każdego pisarza, który miał okazję widzieć i przeżyć wojnę, aby ocalić garść swoich wspomnień od zapomnienia. Szlak bojowy od Lenino po Berlin, a potem po płonące Bieszczady obfitywał w wiele epizodów pełnych

Wśród kardynałów, których wpływy w czasie trwania obecnej sesji Soboru wzrosły, znajdują się również przywódcy episkopatu zachodniemieckiego (Frings, Doepfner). Sukces tej grupy uważany jest słusznie za zwycięstwo obozu reform.

Kardynał Frings znany jest z tego, że przeciwstawia się średniowiecznym z ducha praktykom Świętego Oficjum, którego sekretarzem jest kardynał Ottaviani, przywódca obozu zachowawczego. Niemiecki hierarcha domagał się na II sesji Soboru, by każdy, kogo sądzi Święte Oficjum, miał prawo do wysłuchania wobec niego zarzutów i do skorzystania z obrony.

Kardynał Doepfner, przeciwstawiając się tym, którzy chcieli zmusić do milczenia krytyków poczynając Ottavianiego stwierdził pewnego razu, że „na Soborze każdy może mówić swobodnie i otwarcie i nie jest to oznaką buntu przeciw Ojcu Świętemu. Dał nam on wolność dysku-

Lesław Mariusz

W nowej oprawie stara treść

Soborowe linie podziału

towania, poprawiania albo odrzucania”.

Są więc oni bez wątpienia reprezentantami nurtu zmierzającego do przeprowadzenia reform wewnątrz Kościoła, zabiegającego o swobodę krytyki na Soborze. Czy oznacza to równocześnie, że sukcesy, jakie odnieśli w październiku „br. w walce z integrystami w czasie soborowych obrad — są zwycięstwem kierunku społecznie postępowego? Czy należą oni do tych, którzy pragną przystosować Kościół do przemian zachodzących w świecie, którzy chcą znaleźć właściwe miejsce dla katolicyzmu w warunkach coraz szybciej rozwijającego się obozu socjalistycznego, którzy wreszcie dążą do zgodnego współżycia katolików i niekatolików, wierzących i niewierzących?

Otóż trzeba stwierdzić, że sukcesy osiągnięte przez episkopat NRF na Soborze są zapowiedzią połowicznej tylko odnowy. W przeciwnieństwie do kardynałów i biskupów Holandii, Belgii czy Francji, hierarchowie zachodniemieccy ograniczyć się pragną w zasadzie do pewnych tylko reform wewnątrzkościelnych, utrzymując reakcyjną, zimnowojenną postawę wobec otaczającego Kościoła świata. Nie wszyscy też wiedzą, że episkopat NRF inaczej zachowuje się na Soborze, a inaczej w swym kraju.

Warto tu cytować fragmenty artykułu znanego publicysty Waltera Dirksa, który w styczniu br. tak pi-

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY
tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 159 1. XI. 1964 Rok IV

sał w zachodniemieckim miesięczniku katolickim „Frankfurter Hefte”: „Na Soborze niemiecki katolicyzm ukazuje poprzez swych biskupów i doradców teologicznych swe „otwarte” oblicze. W Niemczech list pasterski tych samych biskupów wydobywa w ten sposób, jak gdyby jego autorzy nie chcieli w Niemczech teże strukturalnej krytyki Kościoła, z którą wystąpili sami na Soborze.”

Autorowi artykułu chodzi tu o list biskupów z 22 września 1963 r., potępiający działalność niemieckich lewicowych intelektualistów katolickich, którzy ośmielili się krytykować episkopat NRF.

„List pasterski — czytamy w artykule Dirksa — sprawia, wbrew zamierzeniom jego autorów, wrażenie dokumentu pisanego w duchu reakcyjnym. Biskupi sami podcinają swoją argumentację, gdyż ich list może być interpretowany w ten sposób, jak gdyby jego autorzy nie chcieli w Niemczech teże strukturalnej krytyki Kościoła, z którą wystąpili sami na Soborze.”

O postawie zachodniemieckiego episkopatu świadczy również stanowisko, jakie zajął on na swej konferencji wobec polityki zagranicznej NRF. Okazało się, że biskupi zachodniemieccy są zwolennikami rewizjonistycznej polityki Adenauera i Erharda, uważają granicę na Odrze i Nysie za tymczasową i popierają tezę o „prowizorycznym” polskim rządzie wschodnich ziem Niemiec”. Episkopat NRF, a zwłaszcza kardynał Frings, inspirował wizytę, jaką Adenauer wraz z hitlewskim zbrodniarzem wojennym Hansem Globke złożył papieżowi. Jak wiadomo, w czasie tej wizyty Adenauer nakłaniał Pawła VI, by kontynuował politykę Piusa XII, znanego ze swych sympatii do reakcyjnych, rewizjonistycznych kół niemieckich.

Gdy więc słyszy się o zwycięstwach reformistycznego „krzydła” na Soborze, warto zachować umiar w ocenie. Są to bowiem często sukcesy ludzi, którzy poszukują nowoczesnych, a więc bardziej skutecznych środków dla realizacji swej reakcyjnej polityki. Współczesnemu światu potrzebne są nie tylko pięknie brzmiące słowa o odnowie Kościoła, o jego przystosowaniu do rzeczywistości, lecz przede wszystkim fakty, świadczące o wkroczeniu na nową drogę, o kontynuowaniu linii Jana XXIII, o poszanowaniu przekonania innych ludzi. Fakty takie, jak postawa episkopatu węgierskiego, który uczynił krok naprzód na drodze ułożenia stosunków z socjalistycznym państwem.

pozycja wojenna będzie tom opowiadań dla młodzieży o II Armii pod tytułem „Między swastyką a trójzębem”. Wydaje „Nasza Księgarnia”, mam nadzieję, że zdąży na Gwiazdkę.

— Niemal tej wojny... A o czymś weselszym pisze Pan także?

— W drugim kwartale przyszłego roku ukaze się tom opowiadań „Melpomena i niebieskie myszki”. Kontynuują one cykl grotesek i makabresek.

I tak poprzez tytuł tej książki doszliśmy do teatru. Odczuwałem od dawna ochotę by zapytać długolentego kierownika literackiego kilku scen co sądzi o naszym współczesnym teatrze. Co w nim najwięcej lubi, a czego nie lubi?

— Z pozycji człowieka trochę luźniej związanego z teatrem, a może nawet właśnie dlatego, że luźniej — powiada Jerzy Korczak — nasuwa mi się tu kilka refleksji i niepokojów. Ciągłe za wiele mówi się u nas o twórczych koncepcjach i eksperymentach formalnych. A teatr przecież sprowadza się właściwie do dwóch tylko rzeczy: do tekstu i aktorstwa. Jak to „gra na medal” wszystko inne jest już tylko drugorzędnym dodatkiem. Gdy teatr tego nie ma, dorabia sobie z reguły jakąś wielką ideologię. Ot, na przykład przed paroma dniami ukazała się w prasie notatka, że jeden z klubów poznańskich zaprasza na prelekcję pt. „Wychowawcza rola operetki”. Sadzę, że, oglądnie mówiąc, to już lekka przesada.

Na zakończenie rozmowy proszę jeszcze Jerzego Korczaka o krótką wypowiedź na temat sytuacji literackiej Poznania.

— Jak Panu się tutaj pracuje, mieszka Pan już w Poznaniu ponad 10 lat?

— Wydaje mi się, że dzielenie pisarzy na poznańskich, warszaw-

Dokończenie na str. 2

*) Fragment powieści pt. „Lilliput”.

Kurt Hoehne

Dokończenie ze str. 1

katach, trochę nowszych szczegółów: że często chodził po cywilnie, podobno mieszkał w koszarach odległych od miasta (Nowy Targ podkarpacka miejscina, mimo stacjonowania dość licznych wojsk dla zwalczania podgórszych grup uwydatniały postać tej miary). Poruszano archiwum krakowskie. Wniknięto pomiędzy legalne dionie, przetruciono też niektórych akt osobowych, poszukiwania nie dały wyniku. Niemieckie władze bezpieczeństwa miały organizację tak trudną do rozwikłania, że nawet w dwadzieścia lat po wojnie stawia opór badaczom.

Przybieciano pomoc centrali, ponieważ tamte wyroki nie podlegały amnestii. Wczesną wiosną przyjechali warszawscy specjaliści. Sposobem bicia od razu odbili od reszty, wprowadzili zwyczaj „naszej ulicy o zmroku”; nastąpiła haratanina, w ogrodach podmiejskiej plebanii Niemcy stracili dwóch swoich, w odwet spawili księdza - staruszkę w kropielnicy zdołającej przedsiemek katechumenów miejscowego kościoła, zwichłany trop cześci, przeciwnik wzmocnił czujność; Hoehne już od kwartału sam nie podpisywał list, teraz podobno wyjechał; miał nadal miasteczko w pieczy, lecz na odległość większą niż koszar od miasta. Odwołano zatem bojowców.

Na początku lata albo wcześniej, te daty zatraciły później wyrazistość, weszły na siebie tworząc pasmo bezsilności, uczucie kłopotliwe, popychające do nierozwagi, chyba jednak przed zbiorem siana, powiedzmy: z końcem wiosny, przyjechał do Nowego Targu najlepszy zestaw, kolekcja brylantów podziemia: człowa ekipa Kedywu. W stolicy, widać, wzięli na kiel. Od przeszło roku trwał owocny likwidacyjny sezon — nie było więc trudnych spraw. Kazali chronić stołecznych jak oka w głowie. W podziemnych kregach gadano, że jednego sturmbannfehrera nie mogą zrobić w tym Nowym Targu. Lepsi czy więksi i to w trudniejszych warunkach dostali co swoje, a temu się nie udaje. Huczek nabrał rozmachu, kiedy londyńskie radio podało szczegóły rzekomo udanej akcji, pomyłkę trzeba było prostować, zamiar wydał się, z Berlina zaraz przemówił Hoehne i jego rodzina, specjalnie przybyła z rodzinnego miasta, aby zaświadczyć o prawdzie. Mieli więc jeszcze głos, znikształony przez maszynierę, nagrany na taśmę, ot, same drobniaki, większość „na nie”: nie mieszka na miejscu, nie lubi mundurów, nie podpisuje teraz list. Podobno oglądał sobie skazanych. Ci na kilka sekund

przed salwą mogli go widzieć. Więc trzeba się było dać zabić, aby dojść sedna.

Nowi zaczęli wolnioskować. Z dwa tygodnie oglądali bezczynnie twarze własnej osłony; obwąchiwali mapy, gromadzili szczegóły, celulozową taśmę przegrywali z umiarem, aby nie zniszczyć na lichym spręcie, twierdzili, że jeśli można zaufać berlińskiej rozgłosności, facet pochodzi z Pomorza, ma kilka nieważnych znamion dialektowych, sam zaś głos, chyba na skutek aparatury, bez właściwości.

Obchodzili teren, przeglądali ulice, którymi miał ongi przejeżdżać do urzędu, w mundurach Wehrmachtu na rowerach zbadali drogę do koszar, dali się rozbroić gorącej partyzantce z pobliza, nosili się też z zamiarem ujęcia żywcem jakiegoś wyższego funkcjonariusza SS, by odeń wycisnąć szczegóły; projekt rozważano dość długo, w tak małej miejscinie jak Nowy Targ mógł jednak pokrzyżować główny plan; dwóch pojechało do Krakowa ponownie poszperać, wrócił z niczym. Zadecydowano poszukać kluczy na niemieckim Pomorzu, w gnieździe rodzinnym Hoehne. Wtedy front doszedł do Sanu. W bałaganie częściowego odwrotu Hoehne znikł na dobre, w dodatku Warszawa ścigała ludzi, ekipie wykonawczej nakazano powrót, miało się ku Powstaniu.

Przybył oczekiwany Wojtyna. Dobry miał kontakt, trafił od razu. Wypoczywał kilka dni po granicznej przeprawie, potem do stolicy nie pozwolili już iść, wybiła godzina „W”, okupant obstarwił drogi i koleje. Wybuchło Powstanie. Z dnia na dzień pęczniał wał obcych wojsk wokół stolicy, wezwania miasta o odsiecz ze strony grup terenowych wzmocniały czujność oblegających. Sam iść nie chciał, próbować mógł w sporej gromadzie, lecz koncentracja w podgórskich rejonach postępowała wolno mimo ponaglenia, ruchom przeszkadzało, jak nigdy dotąd, wojsko skierowane przeciw Podgórzu. Nie popędzali instrukcje — więc czekał. Zapowiedziano przez łączność wewnętrzna przyjsie człowieka od szefa sztabu, do rąk którego przeznaczono przyniesiony przez Wojtynę materiał. Taki fachman od przekroczenia frontu dobić mógł w każdej chwili. Co tedy miał robić Wojtyna? — usprawiedliwiać swoją obecność w kraju: zatrzymać pseudonim „Kos”, dostał nowe dokumenty jako wypuszczony z Oświęcimia, zażywał słodyczy aklimatyzacji do warunków miejscowych, której podlegali wszyscy przybyście z daleka. Melinował dobry schówek niedaleko spalonej plebanii (gdzie gościła przed odwołaniem ekipa Kedywu), pilnowany przez starszą panią i łączniczkę dbała o jego okupacyjną legalność, nudził się. Wtedy wpadł do rąk Hoehne. Wpadł po swojemu. Wstyd powiedzieć: mapą pozostawioną na kwaterze przez niedoszłych dynamitarów, niewyraźnymi planami koszar naniesionymi na nawoskowaną bibułę, notami z przeprowadzonych dochodzeń, wpadł wnioskiem o potrzebie zbadania sprawy na Pomorzu. Gdzieś ten człowiek, u licha, musi być, jeśli podpisywał listy, wydano nań wyrok, przemówił z Berlina, a w kręgu Wojtyny nieustannie mówiono o potrzebie rozwiązania problemu. Żle, że wiedział o łowach, gorzej, że wyjechał z miasteczka, najgorzej, iż stanął Wojtynie na drodze. Poczul to już przybyły w pierwszej chwili. Owo nazwisko: Hoehne, nikogo zresztą nieprzypominające, spowodowało taki błysk, sekundę pewności, która była wyzwaniem i decyzją, decyzją niezejścia samemu z drogi; nazwisko tętniące

monotonnie obiema ylabami wśród nudy, wśród gwałtownych burz idących od południa, zmywających szyby jego izby strugami górskiej ulewy. Tak bardzo przywykł do myśli spotkania Hoehnego, iż z wolna ułożał się z nim. Nie potrzebował go już zlepić. Czuł, że Hoehne żyje w nim. Miał go przed sobą przy każdym wejrzeniu w lustro. Jego rąk szukał na swoich dloniach, jego, Wojtyna, ciało pachniało wonią oprawcy utrudzonego swą dolą, miał tamten też chyba blond włosy, nie nosił zarostu, dolna warga opadała bezwzględnie w zającą skazę (u Wojtyny pamiątka po szkolnej bitce); szerokie pomarszczone ciało, mocne zęby (mówiono: łopatkowate).

Spotforniałe mięsiste usta stanowiły, pewnie wskutek defektu, doskonały instrument: gwizdał Miechysław ongi pięknie. Wśród wiejskich dziewczuch, służących w zamocniejszych domach i Żydów - chałciarzy, wrażliwych na łkający jak głos skrzypiec, ton, uchodził w rodzinny S. za człowieka z talentem w gebie. Po tym został pseudonim „Kos”, i znak szczególny, komplikujący służbę wojskową. „Kurier zawsze podobny do najbardziej przeciętnych; a wy, panie Wojtyna, macie lecieć do Polski, ale nie polecicie, bo Anglicy od maja nie dają maszyn, musicie jednak pośpieszyć, zrobicie jeszcze jeden kurs, krótki, dla piechurów przez Europę, i nim się kochani alianci namyślą czy dawać samoloty dla skoczków, czy nie, będziecie w kraju, dostarczycie Warszawie co trzeba, tylko psiekrew, gębę ma pan, panie podchorąży, że cęgą rzucać. Jakże z taką wargą pchać się w świat”.

Kochał siebie miłością, jaką człowiek brzydki nadmierne obdarzał własną osobę, padł stąd promień i na SS-mana, tak bardzo pragnął, by mu się przedstawił w całości. Patrząc więc w lustro myślał, że tamten pewnie ma twarz równie niepociągającą.

Przyszedł SS-man. Mówił, że wejść chciał do miejsciny w sutannie, ostrzeżony o złej passie dla księży, zatrzymał mundur. Powiedział:

— Jestem „Gzysm”, tak mnie wołajcie.

— Jaka droga?

— Szkoda mówić. Zmęczonym, ale kazali się śpieszyć, jutro wracam. — Wydobywał cichy głos, nie licujący z mundurem. — Zabieram przywiezione dokumenty, szef sztabu kazał zostać wam na miejscu; jak się sytuacja wyjaśni da znać, na razie jesteście do dyspozycji Okręgu. Dobrze was tutaj strzegą?

— Nie narzekam, za dobrze nawet. Nudno...

— No tak.

— Co znaczy: wyjaśni się sytuacja?

— Na mój rozum nic, w Warszawie nie mamy szans; czekamy na zruty, pomoc, Niemcy przecinają miasto w pół, z odosobnionymi ogniskami walki łatwiej sobie poradzą. Tyle, że duch w narodzie. Kazali powiedzieć — powtarzam. Może jakoś to będzie.

— Jak dacie znać co ze mną?

— A radiem...

Właśnie, że nie. Nim nadszedł brząsk, wyrzucono go z łóżka, łączniczka już czekała przed wejściem do meliny. Niemiecka radiolokacja nakryła „punkt gry”, aresztowali radiotę i część osłony, część odskoczyła; strzelanina przycichła, obława ruszyła na miasto. Sami, otoczeni, nie mieli dokąd uciekać, weszli w kilka osób w przygotowany wcześniej wykop obok „meliny”, nakryty deskami i darnią. Po dwóch dniach wychodzili z ciemności niczym z drugiego świata, alarm w miasteczku ustał równie gwałtownie jak zerwał ich o świcie, tyle że zabrali dwudziestu pięciu cywilów, rozlepiono afisze. Wojtyna po wyjściu z dusznej jamy, otarł się od razu o swój słup graniczny. Listę przyszłych straconych podpisał, tym razem pełnym brzmieniem, Kurt

Eugeniusz Paukszt

Kopiec wspomnień

Hej, Iza się kręci, a serce ścisła smętawo... Trochę i z zazdrości, że o czymś takim w naszym czcigodnym Poznaniu nie pomysłimy, gdzie w końcu także się zebrałoby co nieco wspominków. Ta refleksja to na marginesie nowego wydania (bo nie wznowienia, jako że tom poszerzył się i wzbogacił znacznie) „Kopca wspomnień”, arcyświeźnie pomyślanej, napisanej i przez Wydawnictwo Literackie wydanej książki o Krakowie i krakowiakach. Piszą m. in. i Drobner i Bodnicki, Marian Krzyżanowski (ten księgarz) i Aleksander Ślupa, Andrzej Pronaszkowski i Swiderska, Marian Turcki i Antoni Wasilewski. Już sam ten zestaw nazwisk autorów mówi za siebie. Anegdota obok melancholijnej nutki, relacje o walkach i ludziach obok relacji o domach i starościach, sportowe historie obok dziejów najnowszych Żydów krakowskich. Zaiste „kopiec”, ale z kruszcą szlachetnego, rzecz arcyzajmująca w lekturze. Nakład tylko piętnaście tysięcy, w mię zaśmiał się rozdział... I znów kończę te wzmianki apelem do Wydawnictwa Poznańskiego, aby o czymś takim na większą skalę też pomyślało.

A teraz rarytas bibliofilski, majstersztyk wydawniczy. Obfity tom „Poezji wybranych” Rainera Marii Rilkego, w przekładzie i z wstępem Mieczysława Jastruna. O wartości, odrębności i osobliwości poetyki Rilkego wspominałem już parokrotnie przy omawianiu innych wydań jego utworów. Tom obecny jest najpełniejszym wyborem z dotychczasowych, w istocie zaś liryki Rilkego doskonale wprowadza świeży szkielet wstępny Jastruna, przysiępną, a zarazem najciekawszą chyba wnikający w istotę tego poetyckiego zjawiska i jego wpływu na poetykę współczesną, jakim stał się Rilke.

W redagowanej przez H. Markiewicz „Bibliotecie studiów literackich” w opracowaniu Wandy Achremowiczowej i ze wstępem Jerzego Kwiakowskiego otrzymaliśmy pokazny tom studiów i szkiców Karola Witkowskiego „Wśród poetów”. Edytorski trud niemały, większość zamieszczonych prac rozrzucona wszakże była po czasopiśmie, trudno dzisiaj dostępnych, nierzadko unikalnych. Ale dopiero gdy zebrane zostały w tomie, okazuje się, jak potrzebny, niemal konieczny był ten

wysilek. Ślusznie pisze Kwiakowski we wstępie, iż Zawodziński był pierwszym dużej miary krytykiem, który jako działanie podstawowe uważał konieczność specjalistycznej analizy przy odbiorze utworu poetyckiego, który kładł taki nacisk na fachowość oceny. A przy tym Zawodziński był krytykiem, który zbyt kochał poezję, aby poetycznie o niej pisać. Wiele jego ocen jest aktualnych w całej swej pełni, niektóre pozostają echem przeszłości, pewnych specyficznych jej ocen i sporów. W sumie jednak spory to kawał wiedzy i nauki o poezji zwłaszcza dwudziestolecia międzywojennego.

Inny typ, aktualnej tym razem publicystyki, czy raczej eseistyki nie tylko historycznej, ale zarazem tyczącej naszej świadomości historycznej, rozumienia mechanizmów polityki i ideologii, reprezentuje tom szkiców Jana Górskiego „Historia powszechna i osobista”. Ciekawa jest ogólna koncepcja tomu, szukania styku czy nawet śladu historii powszechniej i osobistej, znajdowania w takim układzie nowych, zaskakujących często świeżością płaszczyzn widzenia. Autora interesują zarówno te sprawy historii, które po dziś dzień odżywiają aktualnymi sporami (vide Żalski), jak mechanizmy polityczne epoki współczesnej. Górski patrzy z szerokiej płaszczyzny humanistycznej, ma duży zasób wiedzy i umie pisać — chyba pełny zestaw zasobów, które sprawiała, iż książkę jego chłonie się z satysfakcją.

W konsekwentnej realizacji wydań zbiorowych z Krakowa otrzymaliśmy ostatnio dwa tomy „Grobów Nieczu” Zygmunta Kaczkowskiego, autora, który moim zdaniem, głębia interpretacji problemów historii nie tylko godnie współzawodniczy ze współczesnym mu Kraszewskim, ale zdecydowanie go bije. „Grobów Nieczu” zamienia cykl utworów związanych z postacią Marcina Nieczu, szlachcica sanockiego, rzecz zaś dzieje się w okresie konfederacji barskiej i wojen napoleońskich. W serii powieści obyczajowych J. I. Kraszewskiego otrzymujemy obecnie „Dziwadła”, powieść, bardzo różnie w swoim czasie oceniana, dziś, choć myśkająca, jednak może jeszcze ciekawsza z uwagi na zachowany w niej obraz pewnych cech naszego charakteru narodowego w nie tak dalekiej przeszłości. I trzecia pozycja z serii zbiorowych, w cyklu „Dzieł” Władysława Orkana tom I i II „W rozłokach”, jeden z najciekawszych i najpełniejszych chyba utworów Orkana.

Z książką na ty

Bovensiepen - Hoehne, Sturmlannfuhrer SS, przywrócony wypadkom. Miał-że ten drugi w nim brać ciężar za tyle istnień. On sam — drgała ręka — to właśnie on, Wojtyna, przejrzał się winien oczom zbiegającym przed śmiercią, za trójnogiem przyłecz szeroko rozrzucając stopy, zaleźć taśmę, zatrzasnąć od góry zamek Spandau'a, wstać, cicho podejść, popatrzyć z boku na usta rozszalałe z braku powietrza na tle muru, powrócić, ująć broń. Na odartej z parkanu liście szukał swojego nazwiska. Chciał być tam boiem też jako ten z drugiej strony, by dwudziestu pięciu skazanym dodać część swoją, tę jedną dwudziestą szóstą (ciężar rozłożony na więcej — waży mniej) cóż — pilnowany, prowadzony za rękę, choć minął już miesiąc jego pobytu, czyli zwyczajowy okres przywykania do nowych okoliczności, siedział w ukryciu, wokół znajdował skupione twarze osłony, oraz starszej, pogodnej pani, także łączniczki, nerwowej i drobnej oraz „Gzysma”, o cichym głosie, szukającego się do powrotu.

Dziś dobrze jest opowiadać, próbować odtwarzać, kłamiemy i tak zawsze; tyle tylko ostatecznie potrafię wyjawiać z tych zawiątych

i dla mnie obrotów rzeczy, że najlepszą częścią własnej istoty sprzątnąłem się z Hoehnem, złączyła nas ciemna miłość. Starabys się to określić inaczej, możesz bowiem już nie być zrozumianym; z upływem czasu coraz gorzej bywamy rozumiani; w końcu jednak tylko to powinno obchodzić, co wiesz sam, wybierając spośród chwytliwych prawd najzdawniejszą na dziś, co więc myślisz o sobie, ty, człowiek odległy od fragmentów własnego życia, od tamtego ognia najwyraźniej, odległy, powiedzcież można: odepchnięty przez nieprzewidywany szereg następstw — ale jeśli wtedy złączyłem się z nim na zabój, była w tym jednak miłość, gorąca, intymna więź, zdolna do wielkiego oddania, poświęceń, samozaparcia, dlatego teraz jestem pewien, iż ten punkt widzenia: moich głębokich uczuć do SS-manna, winien znaleźć należne sobie miejsce, bo tak łatwo, tak po prostu pragnęłam w innych stanąć pod murem, aby w ranach wylupianego tynku zobaczyć cały świat oświetlony ostatnią chwilą. A w nim centralny punkt pragnień: Hoehnego! ciemne słońce, które ogła dać mogło tylko przezeń wybrani.

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

Jerzy Korczak

Dokończenie ze str. 1

skich czy koszańskich jest z gruntu niesłuszne. Sądzę, że tu powinien obowiązywać bardzo prosty schemat, podział autorów na dobrzych i złych, bez względu na ich miejsce zamieszkania. Co do Poznania to sądzę, że świetnie się tu mieszka i pracuje, ale na pewno znacznie gorzej jest tu z naturalną bazą zawodową, tak przecież potrzebną literatom i wszystkim twórczym pracownikom kultury, którzy tu osiedli. Mam na myśli przede wszystkim brak czasopisma społeczno-literackiego, które jak zresztą słychać ma powstać. Ten „wentyl” powinien wiele spraw załatwić, czy dobrze — pokaże to może już najbliższa przyszłość. Oby.

Rozmawiał:

OLGIERD BŁAŻEWICZ



„Kultura” i „Polityka” drukują pełny tekst oświadczenia Jean Paul Sarte'a pt.

DLACZEGO NIE PRZYJĄŁEM NAGRODY NOBLA

Sartre jest jedenastym w historii Francuzem, któremu przyznano nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. Jak wiadomo odmówił on jednak jej przyjęcia, uzasadniając to m. in. aspektami politycznymi. Sartre stwierdza m. in.:

„Moje racje osobiste są następujące: moja odmowa nie jest jakimś czynem nieprzemysłanym, zawsze odmawiałem przyjmowania oficjalnych wyróżnień. Kiedy po wojnie w r. 1945 proponowano mi Legię Honorową, odmówiłem, mimo że miałem przyjaciół w rządzie. Tak samo nigdy nie miałem zamiaru wejść do College de France, co proponowało mi kilku z moich przyjaciół. (...)

Moje obiektywne racje są następujące: Jedyna walka, jaka jest możliwa w tej chwili na tronie kulturalnym, to walka o pokojowe współ-

istnienie dwu kultur — Wschodu i Zachodu. Nie chcę powiedzieć, że obie te kultury muszą paść sobie w ramiona, wiem dobrze, że konfrontacja wzajemna musi przybrać formę konfliktu, ale musi się to odbywać między ludźmi i między kulturami bez interwencji instytucji.

Odczuwam bardzo obojętność i głęboką sprzeczność między dwiema kulturami: te sprzeczności mnie samego uformowały. Moje sympatie są niezaprzeczalnie po stronie socjalizmu, po stronie tego, co nazywa się blokiem wschodnim, ale urodziłem się i wychowałem w rodzinie burżuazyjnej. To pozwala mi współpracować z tymi wszystkimi, którzy starają się o zbliżenie dwu kultur. Mam nadzieję jednak, że „lepszy zwycięzca”, to znaczy — socjalizm.

Oto dlaczego nie mogę przyjąć żadnego wyróżnienia przyznawanego przez wysokie instancje kulturalne bądź to ze Wschodu, bądź z Zachodu, mimo że rozumiem bardzo dobrze ich racje istnienia. (...)

Wiem dobrze, że Nagroda Nobla sama w sobie nie jest nagrodą literacką bloku zachodniego, jest tym czym ją uczyniono, ale mogą zaistnieć wydarzenia, w których o nagrodzie nie decydują członkowie Akademii Szwedzkiej.

Oto dlaczego w aktualnej sytuacji Nagroda Nobla przedstawia się obiektywnie jako wyróżnienie zarezerwowane dla pisarzy Zachodu, lub też dla zbuntowanych pisarzy Wschodu. Nie nagrodzono np. Pabla Neruda, który jest jednym z największych poetów amerykańskich. Nigdy nie brano poważnie

w rachubę kandydatury Louisa Aragona, który w pełni na taką nagrodę zasługuje. Jest godne pożałowania, że przyznano nagrodę Pasternakowi, podczas gdy nie przyznano jej przedtem Szolochowowi i że jedynie dzieło radzieckie wyróżnione nagrodą — to książka wydana za granicą i zakazana w swoim kraju. Można było ustanowić równowagę przez podobny gest idący w przeciwnym kierunku. Podczas wojny algierskiej, kiedy podpisałismy „Oświadczenie 121”, przyjąłbym nagrodę z uznaniem, ponieważ nie byłoby to zaszczyt tylko dla mnie ale także dla wolności, o którą podjęliśmy walkę. Lecz tak się nie stało i dopiero po zakończeniu walk przyznaje mi się nagrodę.”

SPRAWY MŁODZIEŻY HCP

Jako sprawę, która warto podjąć w dyskusji przed Zjazdem Związku Młodzieży Socjalistycznej, rekomenduje Barbara Ostrowska („Trybuna Ludu”, nr 300, wyd. C) oświadczenia organizacji ZMS w Zakładach H. Cegielski. Organizacja ta dorobiła się w przeszłości pozycji w zakładzie, stała się w nim pełnoprawnym partnerem, wyróżniała się rzetelnością i inicjatywą. Ale po złym okresie, inicjatyw organizacyjnych, która chwyla się teraz coraz to czegoś nowego, nie spotykała się z takim jak dawniej przyjęciem wśród młodzieży.

„Właściwie nikt nie rozumie — pisze autorka — jak doszło do tego, że młodzież zaczęła odchodzić od organizacji.”

Autorka stwierdza, że w procesie realizacji zadań stojących przed ZMS:

„doświadczenia z Cegielskiego ujawniają istotne niebezpieczeństwo (...) Jest nim groźba zbytniego rozięgnięcia frontu działania młodzieżowej organizacji, brania na swe barki wielu spraw zakładu, które nie służą w sposób bezpośredni funkcjom i zadaniom Związku.”

Chciałbym na zakończenie zwrócić uwagę czytelników na kilka innych ciekawych pozycji. „Walka Młodych” drukuje reportaż Jacka Dąbrowskiego o mistrzu Marcinie Forckim z Zakładów Cegielskiego. Budowniczymi Polski Ludowej („Marcin od rzeczy pierwszych”). „Kultura” zamieszcza artykuł Zenona Klemensiewicza w związku z polemicznym felietonem Hamiltona nt. higieny obcowania z językiem, który to temat poruszył niedawno Klemensiewicz w „Polityce”; ten sam tygodnik przynosi artykuł Stefana Wysockiego „II Festiwal Oper i Baletów Polskich w Poznaniu”. „Tygodnik Demokratyczny” rozpoczyna cykl publikacji nt. zeopatrzenia rynku w towary żywnościowe, odżywiania się ludności, eksportu i importu żywności; rozpoczyna ten cykl Danuta Majewska artykułem „Słodkie życie” (o cukrze).

LEKTOR